

Gdy podeszwy Kacperka zetknęły się z deską, głowa Chucka Norrisa zrobiła się może ciut czerwiejsza, jego nalany polik odrobinę się spłaszczył, ale to by w sumie było na tyle. Skok nie zaburzył nawet przeciągłego chrapnięcia, które wydobyło się z nozdrzy żuła.

– No bo ty chuja ważysz – rzucił Kula, nie bez racji. – Jak ja spadnę to zabiję.

– Jak ty spadniesz to mu łeb pięknie, kurwa, jak bańka – potwierdził Wozak i wszyscy zaśmialiśmy się, w głowie mając obraz soczystej, karmazynowej eksplozji.

Pamiętam, że Kaśka spojrzała wtedy na mnie i przewróciła oczami, jakby porozumiewawczo, stawiając pewną granicę między nami a całą resztą. My jesteśmy mądrzy i rozumiemy absurd sytuacji; oni są małpami w zoo, skaczącymi po głowie wąsatego pijaka. Dziwnie było mi z tą intymnością, gdy tak patrzyliśmy sobie w oczy wśród śmiechów. Chciałem uciec od tej niezręcznej chwili, ale też nie miałem ja-koś ochoty brać udziału w torturach.

– No to dajesz – powiedziałem, zapraszając Kulę gestem dłoni na deskę. Wozak przytrzymał ją, by nie zsunęła się ze skroni Norrisa, a grubasek wdrapał się na murek (mniej więcej metrowej wysokości). Potupał chwilę w miejscu, niczym bokser na moment przed gongiem.

W tym czasie Kacperek włożył na łeb obdrapany kapelusz, który leżał w pobliżu menela. My byśmy się nie odważyli, pewni, że mieszkają tam wszy, ale Kacperek i tak był łysy, więc nie miał zbyt wiele do stracenia. Utonął w nakryciu głowy, tak że tylko szczerbaty uśmiech wyglądał spod ronda.

Gdy Kula zeskoczył na deskę, twarz Chucka zrobiła się purpurowa, jakby niewyobrażalnie się wkurzył, ale nie dostrzeżliśmy żadnego innego sygnału, że odzyskał świadomość. Odrobina chrapliwego bełkotu, która wydobyła się z jego ust, wskazywała jednak, że nie umarł.

Nagle w naszych uszach zadzwonił przeraźliwy krzyk.

– A co wy tu, kurwa, robicie?!

Nauczeni doświadczeniem popędziliśmy natychmiast do jednej z czterech klatek schodowych w naszej kamienicy. Przepychając się między sobą i niemal taranując nawzajem, dotarliśmy na półpiętro, skąd mogliśmy oglądać przez okno scenę, która rozgrywała się na podwórku.

Pewna pani w średnim wieku (której nie kojarzyłem z wyglądu, więc pewnie nie mieszkała w okolicy) wkroczyła na nie pewnym, stanowczym krokiem. Spojrzała na Chucka Norrisa i pokręciła ze smutkiem głową. Zdjęła deskę z jego głowy, a twarz zakryła leżącym nieopodal kapeluszem (musiał zsunąć się z głowy Kacperka w trakcie ewakuacji). Po wszystkim spojrzała w naszym kierunku i choć schowaliśmy się błyskawicznie, z pewnością dostrzegła naszą obecność.

– Pojebało was, gówniarze?! – krzyknęła. – Chcieliście go, kurwa, zabić?!

W jej głosie nie było gniewu. Tylko smutek. I może rozczarowanie.

– Czy wy wiecie, co mogło się stać? Czy wy, kurwa, mózgow nie macie? – kontynuowała, kierując wzrok

na naszą deskę. Wtedy tego nie widziałem, ale gdy później przechodziłem obok, dostrzegłem na niej delikatną smugę krwi. Pewnie od startej skóry Chucka. – Nie może tak być, żebyście takie rzeczy... Wołajcie po ojców albo będę dzwonić na policję!

– Niech dzwoni. – Kula prychnął. – Akurat się kurwy boję.

I miał rację. Żadne z nas się nie bało. Cała ta sytuacja wydała nam się raczej zabawna, dostarczyła kroplę adrenaliny, ale ani odrobiny strachu. Może gdyby ta kobieta nas знаła i poszła po naszych rodziców – wtedy rzeczywiście mogłoby nieco zaboлеć. Ale była obca, więc musiało nam się upiec. Jedyne co mogła zrobić, to troszkę sobie pokrzyczeć.

Stała tam jeszcze długo, krążąc po podwórku i wymachując niebieską Nokią 3310, jakby widok telefonu miał nas przekonać, że naprawdę zadzwoni na psy. Wiedzieliśmy, że gdyby to zrobiła, policjanci zabiliby ją śmiechem. Akurat będą ganiać dzieciaki po klatce schodowej, zwłaszcza gdy ofiarą jest cuchnący pijak, który zasnął pod murkiem. Co najwyżej zabrałiby Chucka na izbę wytrzeźwień, wściekli, że muszą zajmować się podobną pierdołą.

Gdy tak siedzieliśmy i czekaliśmy, aż bohaterska pani zdecyduje się wreszcie odpuścić, Kacperek poszedł do domu po jajka. Bał się nieco, że matka się wkurwi, ale w sumie śmiesznie byłoby porzucać w to irytujące babsko. Wozak był bardzo chętny i natychmiast sięgnął po jedno. Ja niezbyt chciałem brać w tym udział. I nie musiałem, bo Kaśka pociągnęła mnie za rękę w stronę piwnic.

Tuż za naszą kamienicą rozciągała się niezwykle długa, szeroka jezdnia, po której każdy samochód pędził, jakby gonił go sam szatan. Pojazdy migały przed oczami, błyszcząc przeróżnymi kolorami karoserii, a dźwięk nie nadążał za ich prędkością i zostawał na chwilę, bucząc nam w uszach. My zaś staliśmy na skromnym, zaniedbanym trawniku i przyglądaliśmy się niewyraźnemu obrazowi, który można było dojrzeć po drugiej stronie ulicy.

Kilka powykręcanych drzew, wypuszczających co najwyżej parę kruchych, samotnych liści. Niewielkie wzgórze porośnięte rzadką trawą. Oraz dom, czy raczej domek, zbity z desek, na pierwszy rzut oka przypominający dawno porzuconą ruinę. Jednak wystarczyło popatrzeć na niego odrobinę dłużej, by dostrzec bijące z niego dziwne ciepło. A w zimę dało się zauważyć nawet pomarańczowe światło, migające w oknie pozbawionym szyby. Z dziurawego dachu wydobywał się czasami dym.

Zawsze byliśmy ciekawi, kto tam mieszka. Nigdy nie odważyliśmy się sprawdzić.

– Jutro wyjeżdżam – powiedziała Kaśka po długiej, krępującej ciszy. – Matka ma dość tego skurwiela, wczoraj mało łąba jej nie rozbił. Jeśli on pójdzie łaskawie do pracy, to ja nie idę do szkoły. Zbieramy rzeczy i wynosimy się do babci. Mama złożyła już o rozwód.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, więc milczałem. W głębi duszy miałem nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, a jej pieprzony ojczym zostanie sam jak palec i zachla się z rozpacz na śmierć. Ale nie chciałem

się z nią żegnać. I nie potrafiłem jej w żaden sposób pocieszyć.

– Nie wiem, czy się jeszcze spotkamy – kontynuowała. – Raczej nie będziemy chciały tu wracać, niech skurwiel sam sobie gnije w tej jebanej kamienicy. Szkoda, że nie możesz pojechać ze mną.

– Jak zostawisz mi adres, to napiszę ci list – wymamrotałem. – Może dorobię się telefonu, to zadzwonię i powiem, czy ta gnida już zdechła. Jakoś to będzie.

– Jasne. – Uśmiechnęła się smutno. – Zobaczymy się, jak wyrośniemy z tego gówna.

Nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, by odwrócić głowę w jej stronę. Było mi wstyd, było mi smutno, było mi bardzo, bardzo dziwnie i chciałem już wrócić do domu.

Ale jeszcze bardziej chciałem przebiec wreszcie tę cholerną ulicę i spojrzeć na swój dom z daleka, tak jak astronauta patrzy na Ziemię z Księżyca. Zostawić go minuty, godziny świetlne za sobą i wrócić dopiero wtedy, gdy poczuję się na to gotowy. Zajrzeć do drewnianego domku przez przegniłe, zbutwiałe okno i wchłonąć policzkami odrobinę jego dziwnego ciepła.

Wiedziałem jednak, że gdy tylko wyciągnę rękę poza bezpieczny obszar trawnika, jakiś pędzący samochód utnie mi ją, niczym żyłetka, zapierdalająca z prędkością dźwięku.

Kaśka podeszła do jezdni. Jedno z aut minęło ją tak blisko, że wszystkie włosy stanęły jej dęba, a dłonie niepewnie zdrząły. Ale nie cofnęła się choćby o centymetr. To był taki jej rytuał, podchodziła do krawędzi za każdym razem, gdy odwiedzaliśmy to miejsce. Może dla odrobiny adrenaliny, a może żeby przekonać się, czy tym razem odważy się zrobić jeszcze jeden krok.

Następnego ranka w naszej kamienicy miał miejsce wybuch gazu. Gdy wróciłem ze szkoły, w budynku zionęła ogromna dziura, wszyscy zostali ewakuowani, bo przedwojennej budowli groziło zawalenie. Pamiętam, że się nie bałem. Co najwyżej byłem nieco skołowany, być może nawet rozbawiony całą sytuacją. Z Kulą robiliśmy sobie z niej żarty.

Później dowiedziałem się, że zginęły tylko trzy osoby. Kaśka, jej mama oraz Chuck Norris, którego mieszkanie piętro niżej okazało się epicentrum wybuchu. Kilka lokali zostało poważnie zniszczonych, strażacy pomagali wydobyć z nich najpotrzebniejsze rzeczy. Pamiętam, że moja mama płakała, ale ojciec mówił, że przecież teraz szybciej dostaniemy nowe mieszkanie. Normalnie czekaliibyśmy na nie latami, teraz przeprowadzimy się niemal natychmiast.

I tak się stało. Gdy odjeżdżaliśmy polonezem mojego wujka, widziałem przez okno ojczyma Kaśki, tę jebaną gnidę. Siedział na podwórku, dupskiem na ziemi, z butelką piwa w dłoni. Kurtkę miał całą w pyle, powieki czerwone i opuchnięte. Szybko odwróciłem wzrok.

Nigdy już nie spotkałem Kuli, Wozaka ani Kacperka. Dostaliśmy mieszkania w różnych dzielnicach, poszliśmy do innych szkół. Wiele lat później popisaliśmy nieco na Naszej Klasie. Dzięki temu wiem, że

życie ułożyło im się całkiem nieźle. Z przyjemnością wspominaliśmy czasy dzieciństwa, choć nie rozmawialiśmy o Kaśce ani o Chucku. Jakoś tak nie wypadało.

Nigdy też nie wróciłem w rodzinne strony. Nie odwiedziłem grobu przyjaciółki, nie zajrzałem też przez przegnięte okno starego, drewnianego domku. Tożsamość jego mieszkańców na zawsze pozostała tajemnicą, przyprawioną odrobiną magii.

7.11.2019

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bernierdh, dodano 24.03.2023 20:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.